CHLEB

Wracałem zmordowany z egzaminów wstępnych do domu. Nie było dla mnie w szkole gorszych robót niż te dwie: egzaminowanie i czytanie prac uczniowskich. Zeszyty moich wychowanków przeglądałem rzadko, prowadzili je jednak porządnie, bo gdy już w nie zajrzałem, stawałem się bezlitosny w ocenach. Zmorą nie do uniknięcia były każdego roku matury — czas, gdy siadywało się za zielonym stołem na całe dni, przez okrągłe dwa tygodnie, albo i dłużej. Egzaminy wstępne trwały wprawdzie tylko dwa dni, wymagały za to intensywnej i pospiesznej pracy: oceniania wypracowań pisemnych i przepytywania przydzielonej grupy kandydatów. Toteż zobaczywszy teraz w oknie oczekującą mnie żonę, zawołałem z daleka: — Obiad i drzemka!

Mieliśmy jeszcze zebrać się w liceum o piętnastej, by wydać decyzje, kto zostanie przyjęty do szkoły, a kto nie.

Gdy wchodziłem do sieni, usłyszałem za sobą szybkie kroki i w następnej chwili ktoś przy mnie powiedział chłopięcym głosem: — Panie profesorze!

Zatrzymałem się. Stał przede mną chłopak, którego pamiętałem z egzaminu. Trzymał w ręce pakunek, obwiązany sznurkiem. Kręcił się przez chwilę niespokojnie w miejscu, wreszcie podał mi zawiniątko.

— Co to jest? — zapytałem, nie biorąc paczki do ręki.

Spuścił głowę; miał czarne kędzierzawe włosy.

— Szynka — szepnął.

Roześmiałem się w pierwszej chwili, ale zaraz przywołałem sam siebie do porządku. Powinienem go raczej pouczyć niż skarcić, a tym bardziej wyśmiewać.

— Nie robi się takich rzeczy — powiedziałem. — Zabierz tę szynkę z powrotem do domu. Jeżeli dobrze zdałeś, to i bez niej zostaniesz przyjęty do liceum. A jeżeli źle, to nic ci nie pomoże. Jak ty się nazywasz?

— Jocek.

Zapamiętałem to nazwisko. Teraz skojarzyło mi się z twarzą i z dobrymi odpowiedziami, jakie dawał. Ale jeszcze raz powróciła myśl, którą w egzaminacyjnym pośpiechu odepchnąłem od siebie. Wtedy nie powiedziałem mu, że jego nazwisko jest mi znane. Tu, w sieni, gdy jeszcze raz przypomniałem sobie Janów Lubelski w roku 1939, spytałem go:

— A jak ci na imię?

— Leopold.

To mi nic nie mówiło. Tamten z 1939 roku mógł być jego ojcem lub wujem, lecz także mógł nie mieć z nim nic wspólnego.

— Skąd pochodzisz?

— Z Pastewna.

Znałem tę wieś, leżała około trzydziestu kilometrów stąd.

— A skąd pochodzą twoi rodzice?

— Z Janowa Lubelskiego.

Zmartwiałem. A więc? Zapytałem niecierpliwie:

— Jak na imię twemu ojcu?

— Stefan.

Zamknąłem oczy. Stefan Jocek. Czyżby taki nadzwyczajny traf? Stefan Jocek. Gdy znów otworzyłem oczy chłopak stał już nieco dalej, pod ścianą, wpatrując się we mnie jakby ze strachem.

— Komu miałeś dać tę szynkę? Czy wiesz, jak ja się nazywam?

— Nie, nie wiem. Miałem dać panu profesorowi od polskiego, bo z matematyki jestem piątkowy.

A więc paczka nie była adresowana przez Stefana Jocka imiennie do mnie. Jego syn znalazł się przypadkiem w mojej grupie i chciał mnie zwyczajnie przekupić jako tego, który wystawiał oceny z języka polskiego i miał wpływ na decyzje komisji egzaminacyjnej.

Moja żona otworzyła drzwi od mieszkania i pytała mnie z góry, ze schodów:

— Dlaczego nie idziesz? Postawiłam obiad i teraz stygnie.

Powiedziałem chłopcu:

— Przyjdź do mnie po ogłoszeniu wyników.

— Pan profesor weźmie paczkę dopiero wtedy?

Wyciągnął bezradnie ręce z szynką, owiniętą w pakunkowy papier i obwiązaną konopnym sznurkiem.

— Nie, nie wezmę jej wcale. Chcę tylko z tobą porozmawiać. A teraz zmykaj.

Ruszyłem ku schodom. Gdy zamykałem za sobą drzwi mieszkania, stał jeszcze pod ścianą, spoglądając na mnie z wyrazem zawodu w oczach.

Czy tak samo staliśmy pod ścianą wtedy — ze Stefanem Jockiem?

Nie, to musiało wyglądać inaczej. Myśmy czekali na śmierć. Właściwie zostaliśmy zabici, przeżyliśmy w każdym razie własne rozstrzelanie i oto dalej żyjemy, choć minęło kilkadziesiąt lat od tamtego dnia.

Położywszy się po obiedzie na kanapie, nie zasnąłem.

Tamten dzień odżył. Wciąż jeszcze tkwił we mnie, wciąż jeszcze nie skończyła się wojna. Powraca w nas co jakiś czas, by kłuć nie wyjętymi z serca zadrami, odświeżającymi się ciągle bliznami.

Wchodziłem do Janowa Lubelskiego lasem, od strony Biłgoraju. Przedzieraliśmy się przez ten las razem z poznanym w pewnej leśniczówce kapitanem, który straciwszy kontakt ze swoją jednostką, zamierzał wrócić do domu. Takie same plany miałem i ja. Ale w lesie zgubiliśmy się.

Maszerowałem, co prawda, od Poznania w poszukiwaniu oddziału, który przyjąłby mnie w szeregi, choć nie miałem karty mobilizacyjnej, lecz po dwudziestu dniach tego marszu aż po sam prawie Lwów, po pobytach w przejściowych obozach hitlerowskich w Mostach Wielkich i w Rawie Ruskiej, z których uciekłem, zacząłem wracać na zachód.

Musieliśmy dobrze się ukrywać, gdyż Niemcy wyłapywali takich włóczęgów, traktując ich jako bandytów. Toteż niepewnie szedłem szutrową szosą z Biłgoraju do Janowa, pokrzepiając się po drodze rosnącymi jeszcze na skraju lasu czerwonymi borówkami. Szedłem tą szosą sam, spotykając od czasu do czasu ludzi idących w stronę przeciwną. Kto wtedy rozumiał, w którą stronę trzeba iść, by nie wpaść w łapy wroga? Niektórzy na moje pytanie odpowiadali jedynie: — Niech pan wraca. Niech pan tam nie idzie. Ale ja miałem już dość tej włóczęgi, pragnąłem dotrzeć do jakiegoś miejsca, gdzie mógłbym najeść się, wykąpać, położyć się do prawdziwego łóżka.

Od strony Janowa słychać było strzały — to prawda. Ale strzały rozlegały się także po obu stronach szosy, powtarzając się tajemniczo, zwielokrotnione leśnym echem. To przecież w tym lesie natknęliśmy się z kapitanem na zielony mundur wroga. Kto wtedy wie-

dział — gdzie czeka go śmierć, a gdzie życie, gdzie wolność, a gdzie niewola?

Pierwsze domy przedmieścia stały opustoszałe. Nie widać było dookoła żywej duszy. Wszedłem do jednego z nich, ale zastałem jedynie nieład — znany mi już nieład porzuconych przez wojsko kwater. Nie znalazłem niczego do jedzenia. Przed jednym z następnych domów chodziła stara kobieta. Wodziła wzrokiem po ziemi, jakby czegoś szukała. Zbliżyłem się do niej, zapytałem, co się dzieje w tym mieście, ale nawet na mnie nie spojrzała. Okrążyłem ją szukając oczu. Znalazłem w nich obłęd. Mój Boże, ta kobieta w wojennym rozgardiaszu straciła rozum, straciwszy pewnie przedtem wszystko, co miała w życiu. Odskoczyłem jak oparzony i poszedłem dalej, oglądając się na nią bojaźliwie. Czyżbym dopatrzył się w jej oczach swego losu?

Skończyły się, położone jeszcze w lesie, domki przedmieścia, zaczynało się regularne miasteczko. Strzelanina wzmagała się. Nie wiedziałem, kto może strzelać. Mówiono pod Biłgorajem, że Janów został odbity przez wojsko polskie. Na pagórku, po prawej stronie miasta, dostrzegłem stanowisko ogniowe. To stamtąd słychać było powtarzające się serie z karabinu maszynowego.

Wszedłem do rowu i na wszelki wypadek zacząłem się czołgać. Wolałem pozostać niedostrzeżony, by w razie potrzeby mieć możność wycofania się. Po kilku minutach, zobaczyłem kawaleryjski oddział, spadający ze wzgórza w stronę miasta. Wyraźnie widziałem proporzec na czele oddziału.

Wyszedłem z rowu. Ułani mogą zwiastować tylko polskie wojsko — pomyślałem. A więc miasto zajęte jest przez Polaków. Szedłem teraz śmiało przed siebie.

Wchodziłem już w ulicę między domkami. Tam dalej, po skrzyżowaniu, chodzili żołnierze. To byli na

pewno polscy żołnierze, bo nie strzelali, choć kawaleryjski oddziałek nadal spadał z widocznego jeszcze wzgórza. Przyspieszyłem kroku. I dopiero z odległości około stu metrów rozpoznałem znane mi już zielone mundury Wehrmachtu.

Struchlałem. Stanąłem i nerwowo rozglądałem się dokoła. Domy przy uliczce były puste. W moim kierunku szedł jeden z żołnierzy niemieckich. Nie, nie nie mogłem teraz zawrócić, nie budząc podejrzeń. Gdybym się wycofał — strzelali by do mnie, ten samotnie idący mógłby mnie nawet dogonić. Pomyślałem sobie na pociechę, że przecież w tym miasteczku, gdzieś w śródmieściu, musi znajdować się również cywilna ludność. I powróciło mi na dobitkę to marzenie o nasyceniu głodu, o kąpieli, o łóżku. Mijał już prawie miesiąc od chwili gdy wyszedłem z domu. Postanowiłem iść śmiało, jak człowiek miejscowy, nie okazując niepokoju.

Rzeczywiście, pierwsi mijani żołnierze nie interesowali się mną wcale. Dopiero za skrzyżowaniem jeden z idących rzucił w moją stronę podniesiony z chodnika polski hełm z orłem i zaśmiał się tak głośno, że ciarki po mnie przeszły. Ale musiałem brnąć dalej, licząc na to, że ryzyko jest wprawdzie wielkie, ale pewna nadzieja na ocalenie istnieje także.

Wreszcie znalazłem się oko w oko z patrolem żandarmerii. Kroczyło ich trzech — prosto w moją stronę — statecznie, poważnie, ze służbowymi blachami na piersiach, z zapiętymi pod brody paskami. Już byłem przy nich, już chciałem ich wyminąć, gdy ten z mojej strony chwycił mnie za ramię.

— Was machst du denn hier, Mensch?[1] — zapytał śmiejąc się.

---

[1] — Co ty tu robisz, człowieku?

— Ich gehe nach Hause [1] — odpowiedziałem, siląc się na spokój.

— Wohin? Wo wohnst du? [2]

— In Posen.[3]

Zarżeli wszyscy trzej, ich śmiech odbijał się o ściany domów.

— Bist du aus Posen? [4]

— Ja.[5]

— Bist du aber ein Pole, oder ein Deutsche? [6]

— Ich bin Pole.[7]

Zarżeli jeszcze raz. Ten najbliższy szarpnął mną. Zawrócili. Środkowy podbiegł do przechodzącego drugą stroną ulicy oficera i obaj podeszli do mnie. Powtórzyła się ta sama rozmowa. Żandarmi spoglądali na oficera pytająco. Powiedział na koniec krótko: — Erschiessen [8] — i poszedł sobie dalej.

Teraz już tylko jeden prowadził mnie dalej ulicą. Nie bałem się rozstrzelania, było mi wszystko jedno. Widziałem dużo trupów. W dniu wybuchu wojny padły opodal mego domu pierwsze bomby, na szosie z Poznania do Warszawy samoloty kosiły ludzi setkami, pod Tomaszowem Lubelskim szedłem przez pobojowisko zaścielone zwłokami ludzi i koni. Podczas wojny muszą być ofiary — pomyślałem. Dlaczego akurat ja nie mam stać się jedną z nich? Może — sam ginąc — ocalę życie innego człowieka?

Między domami był placyk, zamknięty z tyłu ślepą ścianą domu. Pod tą ścianą stało kilkanaście osób —

[1] — Idę do domu.
[2] — Dokąd? Gdzie mieszkasz?
[3] — W Poznaniu.
[4] — Jesteś z Poznania?
[5] — Tak.
[6] — Ale jesteś Polakiem, czy Niemcem?
[7] — Jestem Polakiem.
[8] — Rozstrzelać!

kobiet i mężczyzn. Na trawie siedziało kilkunastu rozbrojonych żołnierzy polskich. Nieco dalej, po drugiej stronie ulicy, dymiła kuchnia polowa. Wszędzie Niemcy. Zza miasta dochodziły nadal odgłosy strzelaniny.

Żandarm przeszperał moje kieszenie. Zabrał wszystko: zegarek, parę monet, scyzoryk, nawet kieszonkowe lusterko i pognieciony liść tytoniowy. Dokumenty i zdjęcia rzucił na ziemię. Wreszcie zaczął odpinać mi pasek od spodni.

— Opadną mi spodnie — powiedziałem po niemiecku. Byłem straszliwie wychudzony.

— Nie szkodzi — zaśmiał się. — Teraz już ci wszystko niepotrzebne.

Stałem z innymi pod ścianą. Gdy żandarm odszedł, podniosłem z ziemi dokumenty i zdjęcia. Może przydadzą się — myślałem — może ktoś kiedyś będzie usiłował rozpoznać moje zwłoki...

Pilnujący nas Niemiec, z karabinem maszynowym w rękach, krzyknął: Hände hoch! [1]

Grupa zaczęła się porządkować, odwróciliśmy się wszyscy do ściany i podnieśliśmy ręce. Ale on jeszcze nie strzelał. Opadły mi spodnie i myślałem tylko o tym, by mi się nie zsunęły z bioder.

— Czekają, aż przyjdą tamci, co poszli zakopać poprzednią grupę — powiedziała stojąca obok mnie dziewczyna.

Popatrzyłem na nią — miała chyba osiemnaście lat? Ciemne włosy, grzywka. Spojrzałem na lewo — młody mężczyzna w moim wieku poruszał nerwowo wargami. Wiedziałem: modli się. Opadały nam ręce, opuszczaliśmy je, ale żaden z Niemców nie zwracał na to uwagi. Co kilka minut kogoś przyprowadzali i stawiali wśród nas, pod ścianę. Potem odezwał się mój sąsiad z lewej:

---

[1] — Ręce do góry.

— Wszyscy jesteśmy dla nich bandytami. Tylko wojskowych w mundurach nie rozstrzeliwują.

Słońce zbliżało się ku zachodowi. Czułem piekielny głód, wszystko inne było mi obojętne. Moja matka nie żyła, ojciec był dla mnie obcym człowiekiem, rodzeństwo rozproszyło się po świecie, z moją dziewczyną wszystko zepsuło się akurat w przededniu wojny. Nie byłem właściwie nikomu potrzebny.

— Proszę pana, wymieńmy na wszelki wypadek adresy. Gdyby któryś z nas ocalał, doniesie o drugim rodzinie.

Ten z lewej podał mi dwie kartki i ołówek. Na jednej kartce widniał jego adres: „Stefan Jocek, Janów Lubelski, ulica..." Nie pamiętam dziś nazwy tej ulicy, kartkę dawno zgubiłem, pozostało mi tylko w pamięci to charakterystyczne nazwisko.

Druga kartka była pusta. Zwróciłem mu ją razem z ołówkiem i podałem swoją wizytówkę. Zapytałem go, czy ma kawałek sznurka. Miał. Przewiązałem spodnie.

Przyprowadzono kilku polskich żołnierzy i posadzono ich na trawie. Odwróciłem się — siedzieli z pogodnymi, zuchwałymi minami. Niemcy chodzili dookoła bez celu. Ten pilnujący nas, z karabinem maszynowym, gapił się po prostu ze znudzoną miną.

Po paru minutach Niemcy przyprowadzili kilku cywilów w różnym wieku i postawili ich wśród nas. Wreszcie przyszli jeszcze czterej mężczyźni z łopatami w rękach. Oparli narzędzia o drzewo i stanęli na końcu naszego szeregu.

— To ci, co kopali grób tamtym?

— Tak — powiedział ten z lewej, Jocek. — Zakopali poprzednią grupę i wykopali grób dla nas. I dla samych siebie.

Teraz trzeba było spodziewać się tego, co zbliżało się nieuchronnie. I rzeczywiście po chwili energicznym

krokiem nadszedł niemiecki oficer. Gdy go zobaczyłem, słońce schodziło właśnie za domy. Pomyślałem: symbol — zachód. Ale oficer rozproszył moje myśli, krzyknąwszy: Hände hoch!

Zaczął się ogólny harmider. Niemcy odpychali spod ściany kobiety i starców. Rozległ się płacz. Moja sąsiadka z prawej żegnała się z bratem, obejmowali się z czułością i głośno szlochali. Ktoś śpiewał Antyfonę. Mój sąsiad z lewej odmawiał głośno „Ojcze nasz". A we mnie panował chłodny spokój. Muszą być ofiary — szeptałem. Będę tylko jedną z wielu tysięcy ofiar.

I jeszcze raz usłyszeliśmy „Hande hoch" i jeszcze raz podnieślimy mdlejące ramiona. Ale wtedy zatętniły po bruku końskie kopyta i po chwili uciszyło się. Ktoś ważny przybył i było słychać, jak Niemcy skupiają się dookoła niego. Przez rozkręcający się na nowo harmider dochodziły pojedyncze słowa, kojarzące mi się w całość — „Abmarsch" [1] — i potem — „Gefangenen mitnehmen" [2].

Opanowała mnie gwałtowna radość.

— Popędzą nas dalej, otrzymali rozkaz wymarszu — szepnąłem do Jocka, a wargi moje drżały.

— Naprawdę? — spytał.

— Wstawaj! — usłyszałem nagle tuż nad sobą. — Przecież sam powiedziałeś, że o trzeciej musisz już być w szkole.

Podniosłem się ociężale. Wydawało mi się, że powinienem jeszcze raz uchwycić tamten obraz sprzed lat. Ale trudno, wstałem i wyszedłem z domu.

Narada w szkole trwała prawie dwie godziny. Potem zgromadzono kandydatów w auli i dyrektor ogłosił wyniki egzaminów wstępnych. Leopold Jocek został przy-

---

[1] — „Odmaszerować".

[2] — „Jeńców zabrać".

jęty bez żadnej interwencji z mojej strony; miał same dobre i bardzo dobre oceny.

Czekał na mnie przed gmachem. Trzymał pod pachą swoją paczkę. Powiedziałem mu:

— Poczekaj tu na mnie, zajdę na kilka minut do domu.

— Ale mój pociąg odchodzi za pół godziny.

— Nie szkodzi. Zawiozę cię samochodem.

Ucieszył się, na jego policzkach ukazały się dołeczki, takie jak u małych dzieci.

Przecisnąłem się przez tłum młodzieży. Wypiłem z żoną kawę i oznajmiłem jej, że wyjeżdżam do niedalekiej wsi.

Gdy wróciłem przed szkołę, było już pusto i tylko Leopold Jocek stał opodal szkolnej bramy ze swoim pakunkiem. Poszliśmy do garażu.

Potem, już na szosie, odrywałem raz po raz wzrok od jezdni i spoglądałem na chłopca, szukając podobieństwa z tamtym, dawnym Jockiem — Stefanem Jockiem. Ale już nie potrafiłem sobie wyobrazić jego twarzy. Przecież tak krótko tę twarz oglądałem.

Gdy za kolumną wojska maszerowaliśmy drogą w kierunku Kraśnika, było już ciemno. Jocek zgubił się, szedł gdzieś za mną, miał zresztą znajomych z Janowa. Widziałem, że przed naszym odmarszem którejś z kobiet udało się wcisnąć mu bochenek chleba i pragnąłem, by odstąpił mi choć okruszynę. Ale nie mogłem zmieniać szyku, bo wycelowane lufy Niemców pilnowały każdego naszego ruchu.

Około północy zostaliśmy zakwaterowani w jakimś opuszczonym gospodarstwie. Wprowadzeni do opustoszałego mieszkania kładliśmy się na podłodze. Odnalazłem wtedy Jocka, może poznałem po tym, że właśnie jadł, choć się z tym krył. Poznałem go także po głosie,

gdy na moją prośbę o kawałek chleba odpowiedział, łykając kęs:

— Sam nie mam. Trochę zjadłem, trochę mi zabrali.

Siadłem obok niego i w mroku obserwowałem, co będzie robił dalej. Poprosiłem go jeszcze raz i drugi, lecz odmawiał uparcie. Powiedziałem wreszcie: — Udław się! — i potykając się o leżących, odszedłem, by prosić innych, którzy jedli. Nie otrzymałem od nich nic. Wreszcie, w wędrówce po ciemnych pomieszczeniach, trafiłem do kuchni, gdzie w jakimś zakamarku znalazłem wysoki żelazny garnek. Były w nim na pół ugotowane, a może raczej ze starości mięknące ziemniaki. Zjadłem ich kilka bez namysłu, resztę wepchnąłem do kieszeni. Poczułem sytość. A choć była to sytość bez smaku, jej uczucie powracało potem do mej pamięci przez wszystkie głodne lata wojny.

— Pan profesor fajno jedzie — pochwalił mały Jocek.

Mijaliśmy właśnie sąsiednie miasteczko. Ostatnie chłopskie furmanki wracały z targu, lawirowałem między nimi. Do Pastewna pozostały zaledwie cztery kilometry. Wjechałem na boczną drogę pełną dziur. Wóz podskakiwał, prowadziłem więc powoli, na drugim biegu, omijając w miarę możliwości dziury i kamienie.

Wreszcie ukazała się wieś. Murowane budynki, z rzadka przetykane drzewami. Zwykła wieś mazurska.

— Trzeci dom po lewej — poinformował mnie chłopak i sięgnął na tylne siedzenie po paczkę z szynką.

Było już późne popołudnie, właściwie zaczął zbliżać się wieczór. Gospodarz krzątał się właśnie po oborze. Z domu wyjrzała jego żona — kobieta w moim wieku, szczupła, z rękami zatkniętymi za fartuch. Po chwili z obory wyszedł gospodarz. Nikogo mi nie przypominał. Chłop jak chłop, wyglądał starzej niż ja, pochylony, prawie łysy, o spłaszczonej twarzy.

— Pan profesor — powtarzał młody. — Pan profesor.

Witali mnie rozradowanymi, uniżonymi uśmiechami. Podałem Jockowi rękę i powiedziałem:

— Dzień dobry. Jestem Turkowski.

Kłaniał się z przesadnym szacunkiem. Śledziłem jego twarz, czytałem z niej, że moje nazwisko nie wywarło żadnego wrażenia. Jockowa zapraszała mnie do mieszkania. Chłopak powtarzał:

— Pan profesor — i dodał: — Przywiózł mnie samochodem. Zdałem egzamin.

W sieni podał matce pakunek z szynką.

— To było dla pana profesora! — zawołała. — Po co przywiozłeś z powrotem?

Wtrąciłem się:

— Chętnie spróbuję, jeżeli mnie państwo poczęstujecie. Chciałbym z panem Jockiem porozmawiać. W tak gościnnym domu nie pogardzę poczęstunkiem. Ale paczek proszę nauczycielom nie posyłać.

Jocek zmarkotniał. Na jego twarzy mięśnie układały się dziwnie, pociągając skórę w śmieszne fałdy, mające oznaczać smutek. Tak, to mogła być ta sama twarz — ta twarz z Janowa Lubelskiego.

Jockowa, nie przestając gadać prowadziła mnie do mieszkania. W pewnej chwili zostałem z nią sam w staromodnie urządzonym pokoju.

— Mąż poszedł umyć się i przebrać — informowała kobieta. — Jak tam Poldek, dobrze zdawał?

— Dobrze — powiedziałem.

— To się cieszę, bo on tak się bał polskiego. Ale czemu pan profesor pogardził gościńcem?

Rozmowa z nią nudziła mnie — może z powodu uniżoności, a zarazem natręctwa tej kobiety. Toteż ucieszyłem się, gdy zjawił się Jocek — uroczysty, w czarnym garniturze, a ona wyszła do kuchni. Wracała po-

tem już tylko po to, by nakryć stół obrusem, rozstawić talerze i kieliszki, wnieść szynkę, chleb, chrzan, butelkę wódki.

Jocek nie należał do rozmownych i czekał, aż ja coś powiem. Przypomniało mi się, jak modlił się pod ścianą. I zaraz — jak mi w nocy odmówił chleba. W Kraśniku zaprowadzono nas na kościelny dziedziniec, zapełniony tłumem ludzi podobnych do nas. W tym tłumie więcej już Jocka nie zobaczyłem.

Siedział teraz naprzeciw mnie zmarszczony, zażenowany — trochę wystraszony, aż wydawało mi się, że za chwilę usłyszę owo „Hände hoch!" i on podniesie w górę ramiona, szepcząc słowa modlitwy.

Powiedziałem wprost:

— Pan przecież w 1939 roku został rozstrzelany w Janowie Lubelskim.

Drgnął, otworzył szeroko usta. Dopiero po chwili wydobył z siebie głos: — Skąd pan wie?

— Co działo się z panem po przejściu przez obóz w Kraśniku?

— Skąd pan wie? — powtórzył.

— Czy zawieziono pana także do Opatowa?

— Tak — powiedział bezwolnie, jakby to ktoś mówił przez niego. — A potem do Niemiec na roboty. Wróciłem dopiero w 1945 roku.

— A ja w Opatowie uciekłem z obozu.

— To pan profesor też tam był?

— W Janowie staliśmy obok siebie pod ścianą. Odmawiał pan „Ojcze nasz".

— Doprawdy — drgnął znowu. — Ale jak pan mógł zapamiętać? — W jego oczach obok podziwu dostrzegłem zabobonny strach. — Skąd pan profesor...

— Syn pana powiedział mi nazwisko.

— Przecież pan wtedy nie znał mojego nazwiska.

Jockowa właśnie wniosła butelkę i napełniła nam kieliszki.

— Proszę, na zdrowie, panie profesorze — zachęcała. — Proszę napić się z moim starym, ja jeszcze pójdę do żywiny.

— Ale pani z nami! Jakżeż to!

— No, prawda — przyznała. — Jednego z gościnności muszę. — Napełniła trzeci kieliszek. — Na zdrowie pana profesora!

Wypiliśmy. Kobieta wytarła usta i wyszła. Ja sięgnąłem do szynki i ukroiłem sobie spory kawałek. Z chlebem i chrzanem była bardzo smaczna.

Zostaliśmy znów sami. Prędko zaspokoiłem niecierpliwą ciekawość Jocka, przypominając mu, jak dał mi kartkę ze swoim adresem, a ja jemu wizytówkę. Oczywiście, przypomniał to sobie. Potem opowiadaliśmy swe losy po pobycie w Opatowie — wojenne i powojenne. Niemal do tego wieczoru, który właśnie zapadał. Gospodarz w dalszym ciągu zachowywał się w sposób uniżony, ale ożywił się i okazało się, że umie zarówno doskonale opowiadać jak i z zainteresowaniem słuchać. Częstował mnie wódką, ale odmawiałem, tłumacząc się czekającą mnie jeszcze powrotną jazdą przy kierownicy. Przy każdej takiej odmowie pojawiał się w jego oczach błysk niepokoju, czoło fałdowała powikłana sieć zmarszczek, a jego płaska twarz przybierała owe śmieszne grymasy oznaczające troskę i smutek. Domyślałem się, co kryje się za tym niepokojem. Nie wspomniałem ani słowa o tym, jak nie chciał podzielić się ze mną chlebem, a on to sobie teraz na pewno przypomniał.

W pewnej chwili Jockowa weszła znów do pokoju i zaświeciła lampę. Zobaczywszy nietkniętą od momentu jej wyjścia butelkę, zawołała:

— Czemu pana profesora nie częstujesz?

— Częstuję — tłumaczył się chłop. — Ale pan profesor nie chce pić.

Pozwoliłem nalać sobie jeszcze jeden kieliszek dla świętej zgody i zanurzyłem w nim wargi, ale zaraz poprosiłem, by gospodyni zaparzyła kawę. Klasnęła w ręce:

— To mi się podoba! To się nazywa czuć się jak jak u siebie w domu!

Dzięki memu wybiegowi pozostaliśmy znów sami. Na twarzy Jocka malowało się wyraźne zasępienie. Patrzył niespokojnie w moje oczy. Wreszcie nie wytrzymał. Rozcapierzył obie dłonie na stole, jakby wspierał się o blat i wycedził:

— A pan o jednej rzeczy zapomniał.

— Tak? — odparłem, siląc się na uśmech. — Zapomina się dużo.

— To prawda. Ale pan ma dobrą pamięć.

— I dobra pamięć nie wszytko przechowuje. Ale co pan ma na myśli, panie Jocek?

Zawahał się, lecz tylko na chwilę. Ta płaska twarz nabrzmiała teraz. Mówił z trudem, jak gdyby duszony astmą:

— Pamięta pan? Wtedy na noclegu prosił mnie pan o chleb. Ale ja naprawdę już nie miałem.

— Coś mi się jak przez mgłę przypomina — oświadczyłem, mrużąc oczy.

— Naprawdę nie miałem — powtórzył.

Roześmiałem się.

— To całkiem naturalne — powiedziałem. — Nie miał pan, to nie mógł mi dać. Nie wziąłem sobie tego do serca, to i uleciało mi z pamięci.

Odetchnął. Zdjął dłonie ze stołu. Widziałem ulgę w jego oczach, w jego twarzy. Był teraz spokojniejszy i swobodniejszy. Rozmawialiśmy o gospodarstwie, o szkole, o jego synu. Gdy Jockowa przyniosła kawę

i siadła razem z nami, rozmawiało się jeszcze milej. Pożegnaliśmy się serdecznie.

Rano wyszedłem wcześniej z domu, by odprowadzić do garażu pozostawiony na noc pod oknem wóz. I dopiero wtedy spostrzegłem na tylnym siedzeniu paczkę — o wiele większą niż ta, z którą chodził za mną Leopold.

A więc jednak dopadli mnie — dopadli wieczorem, korzystając z ciemności. To już zapewne był prezent nie tylko z okazji egzaminu wstępnego.

Gdy szedłem z garażu do szkoły, powróciło jeszcze raz wspomnienie tamtej nocy na kwaterze. Widziałem teraz wyraźnie to, czego nie chciałem ojcu Poldka powiedzieć wczoraj na wsi. Jocek, mówiąc: „Sam nie mam" — przyciskał ręką marynarkę, spod której brązowił się rąbek sporego jeszcze bochenka.